MARTA KNOPIK

CZARNE MIASTO

Losy śląskiej rodziny splecione niczym warkocz z tego, co realne, i z tego, co magiczne, prowadzą do odkrycia tajemnicy sięgającej wiele lat wstecz…

LIRA
WYDAWNICTWO

CZARNE MIASTO

MARTA KNOPIK

CZARNE MIASTO

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2020
ISBN: 978-83-66503-07-6

Niekiedy wydaje mi się, że jestem już tylko
wspomnieniem o sobie.

Sándor Márai

Rozdział I
Wanda

Ostatnie dni października to czas, w którym powietrze w Czarnym Mieście zaczyna gęstnieć i tracić przejrzystość. Przez smugi dymu przebija jeszcze złoty blask słońca, powoli zalega jednak ciemność, która za kilka dni, z początkiem listopada, pochłonie całe miasto. Na razie czai się w brudnych bramach, w zapachu piwnic, ulatnia się z kominów i oplata dachy budynków. Powietrze ma lekko rdzawy posmak dymu, trochę podobny do smaku krwi. „To zapach ziemi ojców, zapach węgla" — mówią z dumą rdzenni czarnomieszczanie i wgryzają się w niego z lubością.

Wanda Bóbr nie jest jednak rdzenną czarnomieszczanką. Od kiedy mąż ją tu przywiózł w młodości, zasłania twarz szalikiem, narzekając na smród.

Obecne życie Wandy jest szare i monotonne jak krajobraz Czarnego Miasta. Spędza czas w starym fotelu, rozmyślając lub czytając. Wieczorami zasypia w gnieździe uwitym z koców, kołder i poduch, oświetlona melancholijnym, żółtym słońcem abażuru z frędzlami. Czarny pies o łagodnym spojrzeniu leży na tureckim dywanie koło łóżka i pochrapuje. W ogromnym mieszkaniu, w pozostałych pokojach, a także schowkach i przedpokojach,

panują chłód i mrok. I tylko bańka światła chroni przed ich naporem, przed wniknięciem pod kołdry, koce, a potem pod piżamę i skórę.

Jest to przenikliwy chłód zapomnianych sprzętów, dawno niedotykanych ludzką ręką, chłód wielu niedogrzanych pokoi w tym wysokim na cztery metry mieszkaniu. Chłód nieczytanych książek i nieoglądanych zdjęć, chłód porcelanowych figurek stojących pojedynczo, parami, grupkami na komodach i regałach. Chłód krzeseł, na których nikt nie siada, oraz łóżek, w których nikt nie śpi.

Jest to chłód podszyty mrokiem, który wsączał się latami w dywany, obicia sof, w książki i ubrania, a teraz wydobywa się z niedomkniętych szaf, z szuflad komód, spod łóżek, otoman i skrzyń, wypływa spomiędzy podłogowych desek, z pęknięć i rys na ścianach.

Czasami Wanda czuje, że to mieszkanie jest smutną, opuszczoną istotą, rozrastającym się w chaotyczny sposób organizmem, którego macki rozpaczliwie przeszukują kolejne pomieszczenia w poszukiwaniu energii życiowej mieszkańców, którą się żywi. Jest to rodzaj symbiozy, jaki często występuje w naturze, kiedy zwierzęta czy rośliny współpracują ze sobą dla obopólnego dobra. Mieszkanie w zamian za energię daje schronienie i dzieli się skarbami, których ma w zanadrzu nieskończoną ilość. Kiedyś, w lepszych czasach, ten układ się sprawdzał, teraz jednak jest tu tylko Wanda. Córki dorosły i wyjechały do odległego Białego Miasta. Mąż nie żyje od lat, a ona sama jest smutną, opuszczoną istotą, w której niewiele

pozostało energii życiowej, niewiele ma więc dla ducha domu, który wydaje się coraz bardziej wrogi.

Wanda wychodzi już tylko na krótkie spacery z psem. Idzie zawsze tą samą trasą, najpierw wokół podwórka, wzdłuż komórek na węgiel, potem przy murze przeciwległej kamienicy, następnie przez bramę na sąsiednie podwórko. Czarny pies, zwany po prostu Czarnym, na tej krótkiej trasie odwiedza swoje murki i drzewa. Raczej nie zmieniają wiele w wyznaczonym szlaku. Czasem w trakcie popołudniowego spaceru idą na pobliski skwerek, gdzie Wandzia spotyka się ze znajomą, Kazią, która wyłania się z mgły, sapiąc jak lokomotywa. Jej pies, Adonis, drepcze za nią na cienkich nóżkach dźwigających nieproporcjonalnie tłuste ciało.

Kazia lubi mówić o gotowaniu.

— Jaki ja przepis ostatnio widziałam w gazecie! Muszę wypróbować, jak syn do mnie przyjedzie. Taki zawijaniec z sera z warzywami albo, o, zupa krem z cukinii! To jest niezłe. Albo przegrzebki w winie! Albo dynia faszerowana warzywami po grecku i kalarepki po norwesku! Słyszałyście o takich daniach? Teraz to się inaczej gotuje. — Kiwa głową.

Pani Kazia namiętnie ogląda programy kulinarne, kupuje książki i zbiera przepisy z gazet. I o tych potrawach, programach i przepisach opowiada z wypiekami na twarzy.

Wanda i Kazia stoją tak czasami na skwerku, zatopione w dymie jak głębinowe ryby na dnie oceanu, i myślami konsumują egzotyczne, wymyślne dania, jakby były

z jakiegoś lepszego kraju, w którym bez zdziwienia się te wszystkie rzeczy zjada naprawdę.

Dołącza do nich jeszcze Biała Irka z pudlem Gabrielem. Irka, wiadomo, zawsze na biało: białe buty, biała kurtka, biała czapka na białych włosach, do tego biały pudel ze srebrną obróżką. Ich jasne sylwetki wyraźnie odcinają się od rozmytych, burych konturów czarnomiejskiego krajobrazu. Jednak podczas stania na skwerku z wolna szarzeją, pokrywają się sadzą opadającą z nieba, nasiąkają dymem i wtapiają się w otoczenie, po czym — nieco poszarzali i wyblakli — idą do domu, by na kolejnym spacerze znowu porazić czystością i bielą.

Irka jest specjalistką od prania białego, od detergentów, wybielaczy, proszków, płynów i kapsułek. Czas pomiędzy spacerami spędza na namaczaniu, praniu, suszeniu, prasowaniu ubrań oraz na kąpieli, myciu i układaniu białych loków: swoich i psich, na pielęgnacji pięknego pudla przy użyciu szamponów i lotionów. W białej łazience stoją rzędami preparaty ściągane z różnych stron świata, w tym również z Ameryki, przysyłane przez siostrę bliźniaczkę, która dwadzieścia lat temu wyjechała na turystycznej wizie i nie wróciła, czasem tylko zadzwoni, przyśle zdjęcie, na którym stoi pod Statuą Wolności, koło Wielkiego Kanionu, na jakimś moście, w jakimś mieście, niezmiennie cała na czarno, z czarnymi włosami, czarnymi oczami, w czarnych butach, słynna w całej Ameryce specjalistka od prania czarnego.

Irka, gdy ją dopuścić do głosu, mówi zawsze, jak co uprać, na co uważać, czego użyć, jakie są najnowsze

wynalazki i w czym się pierze w Ameryce, jakie oni tam mają pralki sterowane głosem, suszarki, co same rozwieszają, jakie zapachy i cudowności.

— Udało mi się wczoraj kupić proszek z Niemiec! — ogłasza z dumą. — Od razu wypróbowałam. Uprałam te białe ściereczki, o których wam ostatnio opowiadałam, te, co mi pożółkły, leżąc w szafce, i niczym nie dawało się przywrócić bieli. I doprały się za pierwszym razem! Bez namaczania!

— No popatrz! — oburza się Kazia. — A niby u nas te same proszki, te same marki. Zawsze nas ciulają. Z jedzeniem jest to samo! Kup kawę z Niemiec, to się dowiesz, jak powinna pachnieć i smakować! Albo słodycze czy ser. U nas sam plastik i sztuczne dodatki. Niemiec by tego nie zjadł.

— A pewnie. Niemcy to chodzą w bielutkich koszulach, a w oknach mają śnieżne firanki. A popatrzcie u nas: smętne bure szmaty w oknach i niczym tego nie dopierzesz — wtóruje Irka.

— Z owocami też oszustwo. Kup melona albo jakiś inny egzotyczny owoc. Wszystko bez smaku!

Wanda słucha uważnie i potakuje, ale sama mówi niewiele, częściowo za sprawą chroniącego przed dymem szala zasłaniającego usta i nos. Czasem coś mruknie, kiwnie potakująco głową. Słucha i robi wielkie zdziwione oczy, oczy zachwycone, oczy podejrzliwe zmrużone w szparki, półprzymknięte rozmarzone oczy lub wspierające, pełne wzruszenia, lśniące od łez. Czasem oczy pocieszające, oczy rozbawione

z iskierkami śmiechu, oczy o spojrzeniu ironicznym lub sarkastycznym.

Po spacerze wraca do domu, idąc wzdłuż ulicy, po której suną smętnie brudne samochody z wolna wyłaniające się z mgły, a czasem zapowiedziany głębokim głuchym stukotem toczy się majestatycznie tramwaj. Obok niej przemykają pogrążone w dymie sylwetki czarnomieszczan, snujące się po zdewastowanym mieście jak potępione duchy. Wyłaniają się na chwilę, a potem rozpływają w powietrzu, nie pozdrawiając się wzajemnie, właściwie niemal się wzajemnie nie spostrzegając.

Przed szumem, stukotem i duchami Wanda umyka do swojej bramy, zamykając ciężkie, odrapane drewniane drzwi, pękające ze starości i piszczące w zawiasach, te same, w które w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym rąbali kolbami żołnierze Armii Czerwonej, kiedy w atmosferze terroru i strachu na pół roku zajmowali miasto. Opowieść o tym strasznym okresie Wanda zna od pani Genowefy, która z wypiekami na twarzy i na bezdechu, mimo upływającego czasu, opowiadała, że weszli, że bili, że gwałcili, że okradli, że spalili i splądrowali.

Po zamknięciu bramy robi się w sklepionym strzelistym łukiem przejściu ciemno, ale również ciszej i spokojniej. Wanda skręca do klatki schodowej i po drewnianych rozchybotanych schodach powoli pnie się do góry. Z roku na rok schody wydają się coraz mniej stabilne. Poręcze coraz bardziej tracą pion i odginają się na boki. Tralki, niegdyś rzeźbione, potem zastąpione zwykłymi, prostymi słupkami, a w końcu deskami, systematycznie

znikają, wyrywane strudzonymi rękami czarnomieszczan, którzy w poszukiwaniu opału plądrują klatki schodowe i opuszczone mieszkania.

Kiedy staje pod drzwiami, za każdym razem ma jakąś chwilę zawahania, krótkotrwałe zastygnięcie z kluczami w dłoniach i pytaniem w oczach, czy to aby na pewno tu. Jakby nadal była trochę obca. Jakby po trzydziestu latach mieszkania w Czarnym Mieście, w tym osobliwym mieszkaniu, nadal nie była na swoim miejscu.

Przyjechała tu wiele lat temu, na początku lat osiemdziesiątych, z rodzinnego Kamiennego Miasta. Nie odczuła większej zmiany. Obydwa miasta były poniemieckie, oba obdrapane, pełne zaułków, brudnych bram, odpadającego tynku i szarości. Mieszkańcy obu miast nie czuli się gospodarzami. Eksploatowali, co było, co zostało po Niemcach, co przetrwało. Oba miasta wydawały się rozpadać, dryfować z wolna w kierunku dekonstrukcji i niebytu.

Na początku jej mąż, Zdzisiek, mieszkał w hotelu robotniczym. Potem dostał z kopalni małe mieszkanko w nieco nowszej części miasta, trochę bardziej komfortowe niż to, w którym mieszkał w Kamiennym Mieście, bo tam piece, brak łazienki, ciemna kuchnia i zimna woda. Tu było ciasno, ale wygodnie. Potem przyszły na świat dziewczynki i Zdzisiek, wbrew namowom, żeby poczekać, że na pewno wnet dostaną większe mieszkanie z kopalni na którymś z rosnących wokół miasta osiedli, znalazł, nie wiadomo skąd, ofertę zamiany ich przytulnej kawalerki na wielkie mieszkanie w starej kamienicy.

Starowinka, która je zajmowała, nie żądała żadnej dopłaty. Chciała tylko mieszkać wygodniej, w mniejszym, ciepłym, łatwiejszym do posprzątania mieszkaniu. Jak Zdzisiek to załatwił, jakim sposobem dogadał się z panią Leokadią, to już jego tajemnica. Wanda dała się w końcu przekonać mężowi, który — oszołomiony liczbą pokoi i przestrzenią w mieszkaniu staruszki — nie mówił o niczym innym, tylko o tym, jak sobie pomalują i urządzą, co będzie w którym pokoju, że każda z córeczek będzie miała swój kąt, że będzie sypialnia, salon, spiżarnia, wielka kuchnia, jadalnia i nie wiadomo co jeszcze. Wychowany w wielkim ścisku wielodzietnego domu, gdzie nawet łóżko dzieliło się z rodzeństwem, zupełnie oszalał na punkcie zamiany i w końcu dopiął swego.

Spakowali swój niewielki dobytek i przenieśli się do mieszkania w kamienicy. Pomógł im kolega Zdziśka, Gienek, który na ten dzień pożyczył żuka z pracy. Zastali starowinkę, panią Leokadię Baumann, zapłakaną, daremnie próbującą wybrać i spakować to, co zabierze spośród niezliczonych przedmiotów nagromadzonych w trakcie życia, odziedziczonych po przodkach od pokoleń zajmujących piętro luksusowej niegdyś kamienicy w centrum miasta, kamienicy o rzeźbionych balustradach, marmurowych ścianach, zdobionej płaskorzeźbami i witrażami. Nie potrafiła zdecydować, co zabrać, a co zostawić. Miała spakowane tylko cenne rzeczy, jakieś srebra i biżuterię. Brała w ręce kolejne przedmioty: lampy, książki, kryształy, pledy, obrazy, poduszki, po czym odkładała je i szła dalej. Pokój po pokoju. Godzina po godzinie.

Każdy przedmiot miał tu swoją historię, z każdym wiązała się jakaś opowieść.

— Ten zegar — mówiła szeptem starowinka — moi rodzice zakupili u słynnego zegarmistrza, którego zakład był przy placu Cesarza Franciszka Józefa, Kaiser Franz Josef Platz, później, po trzydziestym dziewiątym, nazwany placem Adolfa Hitlera. Pamiętam z dzieciństwa, jak ojciec dumny był z zakupu, bo wiecie państwo, zawsze lubił sceny mitologiczne, a te rzeźbienia to porwanie pięknej Europy. Matka stawiała zegar na kominku. Służąca go nie lubiła, bo trudno było odkurzyć, tyle tu szczegółów, postaci i zawijasów. — Odstawiała zegar i brała w dłonie kolejny przedmiot, tym razem zdobioną paterę, porcelanową figurkę, jakiegoś jelonka, pastereczkę, i o każdej rzeczy mówiła parę słów. — Widzą państwo, to jest jajo Fabergé, myślę, że cenne, choć sama nie wiem, bo to chyba nie oryginał. Dostałam je od Johana, kiedy wrócił ze studiów z Wiednia. To był dobry chłopak, od dzieciństwa mieliśmy się ku sobie. Popatrzcie, to się otwiera, a w środku jest mała karuzela, z konikami o białych grzywkach, bo my jako dzieci lubiliśmy karuzele. I raz na jednej karuzeli, jako dzieci, obiecaliśmy sobie, że będziemy mężem i żoną. Ale nie było nam dane — westchnęła.

Pani Leokadia nie miała rodziny, nie miała nikogo, komu mogłaby dać to wszystko, te skarby opowiadające historię wielu pokoleń. Nie potrafiła ogarnąć tego ogromu rzeczy ani niczego wycenić. Rodzina Bobrów w końcu chciała się wycofać, ale skończyło się tak, że Zdzisiek

zaproponował, że pani Leokadia może wszystko zostawić i przyjść po swoje rzeczy, kiedy będzie chciała, że niczego nie wyrzucą i wszystko dla niej zatrzymają. Starowinka, uspokojona, spakowała się w ciągu paru godzin i Zdzisiek przeprowadził ją do nowoczesnej kawalerki. Poukładał jej zastawy stołowe i ozdobne sztućce w szafkach kuchennych. Pozawieszał zasłony, przewiózł meble i komody, które Leokadia wybrała. Razem z Gienkiem do późnej nocy nosili kartony z obrusami, ubraniami, najróżniejszymi pamiątkami, aż staruszka, widząc zapełniające się mieszkanie, powiedziała „dość". I jak wcześniej ustalili, resztę rzeczy zostawiła. Nigdy ich nie odebrała. Była ze dwa razy, raz po album ze zdjęciami, raz po jakąś szkatułkę, której dłuższą chwilę nie umiała znaleźć, aż w końcu triumfalnie odkopała w jednej z szuflad.

Tak rodzina Bobrów znalazła się w owym mieszkaniu nie do ogarnięcia, bogatym w niezliczone przedmioty: bibeloty, dywany, obrusy, pełnym komód, regałów z książkami, otoman, lamp i zegarów. W mieszkaniu jednocześnie wspaniałym i paskudnym, bo przecież zapuszczonym, dawno nieremontowanym, chaotycznym, zbyt pełnym sprzętów, którym pani Leokadia widocznie się poddała, ich historii i nieogarniętej wielości; sprzętów w większości starych i niemodnych. Czuć było zapach tego bezwładu, zapach rezygnacji i niemożności opanowania rozrastającej się do wewnątrz siedziby.

Ich skromny dobytek składał się z pralki Frani, czarno-białego telewizora, sześciu kartonów ubrań, dwóch kartonów ze sprzętami kuchennymi, czyli dwa garnki,

patelnia, tanie talerze, sztućce, szklanki (sześć sztuk) oraz z sześciu ręczników, pościeli i jednego kartonu z lnianymi ściereczkami i obrusami podarowanymi przez matkę Wandy, która całe życie przestała przy krosnach w fabryce lnu w Kamiennym Mieście. Te obrusy, drukowane w egzotyczne krainy, dalekie kontynenty i wyspy, w mięsiste kwiaty, palmy i zwierzęta, stanowiły jedyny element ozdobny ich dobytku, jedyny łączący funkcję użytkową z estetyczną. Wszystko inne było praktyczne, konieczne i używane codziennie. Nic nie było na potem, na kiedyś, na później, od święta czy na niedzielę.

Byli młodym małżeństwem, na dorobku. Talerzy mieli tyle, żeby można było zjeść obiad, a garnków tyle, żeby go ugotować, ubrań tyle, żeby nie chodzić na golasa. Żadnych zbytków, obrazków, pamiątek, bibelotów. Jedno ślubne zdjęcie, na którym siedzą bladzi i przestraszeni. I tyle.

W mieszkaniu na Szerokiej przeżyli szok cywilizacyjny, jakby ktoś przeniósł ich w inną rzeczywistość, do krainy, gdzie żyją ludzie o zupełnie odmiennych potrzebach i zwyczajach. W tej krainie ma się na przykład sześć serwisów obiadowych, bo tyle pani Leokadia zostawiła, a zabrała ze sobą tylko jeden, sześć serwisów obiadowych i kawowych, z cukiernicami, imbrykiem, delikatnymi filiżankami. Każdy zestaw z innym wzorkiem, zdobieniem, złoceniem, malunkiem, bo jeden biały z delikatnymi zawijasami srebra układającymi się w kształt liści, drugi w maki malowane pędzlem, jakby rozwiane przez wiatr. Niektóre komplety miały mnóstwo elementów.

— Pół miasta można by zaprosić! — śmiał się Zdzisiek, gotów zorganizować przyjęcie dla wszystkich ludzi, których znał.

Na co Wandzia z przerażeniem wykrzykiwała:

— Patrz, Zdzisiu, tu są jeszcze takie małe miseczki pod spodem! Matko Boska! Ile tego! Chowaj to, Zdzisiek, bo się pogubi. Nie ruszaj! Nie nasze!

Te ich skromne kilka talerzy, które wydawały się w sam raz, mimo że jeden się wyszczerbił, a dwa inne zmatowiały, teraz wydawały się biedne i brzydkie. Poczuli się oszukani. Myśleli, że mieli, co trzeba, tyle, ile inni, takie jak inni. A teraz widzą, że wcale nie, że można inaczej, piękniej. Wanda wspominała opowieści swojej matki, jak to kiedyś, za dziecka, jeszcze na wsi w domu dziadków Wandy, jadło się z jednej michy postawionej na środku stołu, a trzeba się było spieszyć, żeby ci inni nie zjedli.

— Przy jedzeniu się nie mówi, bo kto mówi, zamiast jeść, będzie głodny. A najważniejsze to być najedzonym — powtarzała matka, nauczona tej żelaznej zasady z domu.

Owszem, ponoć mieli talerze, kilka sztuk, wielkie i ciężkie, gliniane, ale to od święta. A na co dzień micha wystarczyła.

Wanda jeździła w odwiedziny do dziadków na wieś jako dziecko i żadnej michy na środku stołu nie pamięta. Mieli talerze, zwykłe, białe. Może któreś z dziewięciorga dzieci dziadkom kupiło. Rozjechały się te dzieci po świecie, a potem odwiedzały rodziców, zawsze z jakimś praktycznym prezentem, bo kto by tam jakie głupoty

kupował. Pewnie i talerze dziadkowie dostali. Ale gdyby oni usłyszeli, że można mieć w domu sześć kompletów talerzy, a każdy inny, inaczej zdobiony, malowany, toby nie uwierzyli w takie bogactwo i zbytek. Owszem, malowane talerze były, ale kto by na tym jadł! Malowane talerze wieszało się na ścianie jako ozdobę. Miały przecież z tyłu taki sznureczek do zawieszania. A kto tam słyszał o serwisie kawowym! Były kubki gliniane, z których tak dobrze smakuje woda ze studni, a można też kawy zbożowej nalać z garnuszka, jak się na piecu naparzy, a i kompot z gruszek albo jabłek. Dzban na wodę, kubki gliniane i wystarczy. Po co komu więcej? A te wszystkie fikuśne małe filiżanki uznano by za zabawki dla lalek. Dziadek by tego złapać nie umiał, palca by w uchwyt nie wcisnął, zmiażdżyłby swoimi spracowanymi dłońmi.

Wanda i Zdzisiek mieli szklanki, nie gliniane kubki, do szklanek zaś uchwyty, nakładki, żeby się nie poparzyć, jak się kawy naleje albo czarnej herbaty z puszki z kwiatkiem. Nakładki Wanda zrobiła na szydełku.

— Teraz szklanki modne, kto by z tych staromodnych naparstków pił — śmiał się Zdzisiek, przekładając kolejny komplet z jednego miejsca w inne podczas sprzątania i oswajania mieszkania.

Jak pokazały kolejne lata, była to praca daremna, bo mieszkanie na Szerokiej nie dało się oswoić, uporządkować, ogarnąć, było obojętne na próby Bobrów, żeby to jakoś wszystko poustawiać, posegregować, posprzątać i zrobić sobie trochę miejsca do życia. A czasem, jak skrycie podejrzewała Wanda, jakaś mroczna siła im to

uniemożliwiała, jakaś szafa, którą chcieli uporządkować, nie chciała się otworzyć, a jeszcze wczoraj przecież się nie domykała i co człowiek próbował ją zamknąć, to drzwi się uchylały z piskliwym skrzypnięciem — a teraz, proszę, nie otworzysz.

I jeszcze te figurki stojące na półeczkach, stoliczkach i komódkach, te figurki ciągle patrzące na Bobrów zimnymi oczami. Pastereczka niby patrzy na gąski, baletnica niby zajęta tańcem, młodzian niby wpatrzony w ukochaną, nimfa cała w pląsach — a Wanda czuje, że patrzą na nią, gdy idzie przez pokoje, że śledzą jej każdy krok.

— Wezmę karton — mówi do Zdziśka — pochowam te figurki, bo dziewczynki biegają, nie daj Boże potłuką.

Nie powie przecież, że na nią patrzą, że podglądają, że się z niej nabijają, że miny robią za plecami. Popukałby się w czoło.

Idzie z kartonem przez mieszkanie i… nie do wiary, nie ma figurek! Stały tutaj, na tej komodzie, na tej półce, na tym stoliczku, a nie ma! No, owszem, są figurki zwierząt, ale do nich żadnych pretensji nie ma: ani do kotków, ani do jelonków, ani do piesków. Gdzie ta nimfa śmieszka, gdzie ten pół kozioł i pół człowiek, gdzie pastereczka, młodzian, baletnica?

— Pewnie dziewczynki wzięły do zabawy. — Zdzisiek wzrusza ramionami. — Daj, Wandzia, spokój, nie potłuką. Daj się dzieciom bawić.

Jednak dziewczynki odpowiadają, że o żadnych figurkach nie wiedzą, że one sobie dzisiaj cały dzień rysowały. I Wanda się poddawała. A po jakimś czasie figurki się

pojawiały. Najpierw pastereczka, potem młodzian i jego ukochana z całą resztą. Czasem Wanda spostrzegała jakąś wcześniej niewidzianą figurkę: fauna, boginkę, królewnę, aniołki, pastuszka, i zachodziła w głowę, skąd to, jak to? Czy one się mnożą? A może wypełzają nocami z zakamarków?

Oj, trudno było zrobić dla siebie miejsce w tym mieszkaniu! Skoro zobowiązali się jeszcze przez czas jakiś niczego nie wyrzucać, gdyby pani Leokadia przypomniała sobie nagle o czymś ważnym i cennym, skazani byli na przekładanie rzeczy z miejsca na miejsce. Trzeba się było nagłówkować, żeby zmieścić w kredensie swoje szklanki, żeby wepchnąć w komody swoje ubrania, bo najpierw trzeba wyciągnąć, co się zastało po poprzedniej właścicielce, poprzekładać, poupychać, pochować do szaf, pawlaczy, spiżarek. Długi i mozolny był proces osiedlania się, choć na początku rzeczy mieli niewiele.

Wanda może by wybłagała u Zdziśka, żeby jednak wymyślił sposób, jak pozbyć się tego mrowiska skarbów, ale za zachowaniem stanu rzeczy w jego chaotycznym trwaniu, przesypywaniu i przekładaniu z miejsca w miejsce, ze sterty na stertę, przemawiał niesłabnący entuzjazm dziewczynek, które jak tylko trochę podrosły, zaczęły eksplorować mieszkanie z jego wszystkimi zakamarkami. Zatrzaskujące się przed Wandą szafy, zacinające się szuflady komód, na amen pozamykane skrzynie stały otworem dla tych dwóch rumianych, rozradowanych istot, które napełniały pokoje piskiem zachwytu nad kolejnymi znaleziskami. Wanda Bóbr miała wrażenie, że kiedy córki

przechodzą przez mieszkanie, całe w świergotach, podskokach i obrotach, łagodnieją rysy postaci na obrazach i fotografiach, jakby cień czułości zmiękczał ich surowe spojrzenia, że zimne i wrogie twarze figurek rozgrzewa cień uśmiechu. Na nią, Wandę, portrety patrzyły surowo: na jej stare kapcie, podomkę, szlafrok, poplamioną bluzkę, patrzyły z dezaprobatą, z naganą, toteż Wandzia coraz częściej czesała się porządnie; mimo że od rana sprzątanie, pranie, prasowanie, gotowanie, to ubierała coś ładnego. Jej matka by się w głowę popukała, gdyby zobaczyła, że bierze się do prac domowych uczesana, w bluzeczce i apaszce.

Z czasem jednak wbrew temu, co Wanda mruczała pod nosem, zadomowili się nieco i z miesiąca na miesiąc coraz bardziej przyzwyczajali się do sprzętów, figurek i obrazów. Rodzina Bobrów adoptowała, jeden po drugim, portrety przodków, tak pozornie surowych i obcych. Najpierw tego w białym, wysoko postawionym kołnierzu, „wujcia Gniewka", jak nazwały go dziewczynki. Różnił się od reszty, bo włos miał zmierzwiony, jakby z szychty wracał pod wiatr, spojrzenie ogniste, trochę poeta wieszcz, trochę uciekinier z domu wariatów.

— Co wujcio się tak jeży? — mruczała pod nosem Wanda, nakrywając do stołu. — Dziś pomidorowa, samo zdrowie.

Wujcio Gniewko wisiał w jadalni, do której przechodziło się z kuchni przez dwuskrzydłowe rzeźbione drzwi, na wprost okien, tak że najczęściej znajdował się w plamie światła, co nadawało jego spojrzeniu, mimo szaleństwa

w oku, życzliwość, a całej postaci raczej zabawny niż jakiś tragiczno-romantyczny rys, co być może było zamiarem malarza. Informowano wujcia, co na obiad, co na drugie, co do kawy, że ciasto dobre się kupiło, że kompot trzeba wypić, bo skwaśnieje, że dziś będzie bez mięsa. A wujcio się wtedy nabzdyczał, patrzył wzrokiem szalonym i gniewnym, jakby właśnie żądał mięsnego obiadu, że jak można tyle cukru spożyć w ciastku, że pomidorowa to jednak nie jest królowa zup i nie ma się czym chwalić.

Grę w wujcia zaczął chyba Zdzisiek, kiedy to przy urodzinach uniósł w stronę portretu kieliszek i wygłosił toast. Wszyscy spojrzeli na obraz. Przodek się zjeżył z uniesieniem, a obecni: sąsiad z drugiego piętra, kolega z pracy Gienek, brat Zdzisia z małżonką, roześmiali się, bo — doprawdy — cała postać zdawała się wołać, że wódki nie pije. Od tego dnia Bobrowie zagadywali do portretu, a kiedy przodek pani Leokadii zyskał już przydomek i został mianowany członkiem rodu Bobrów przez nadanie mu statusu wujcia, poszło łatwo. Wandzie to nawet weszło w nawyk, że do wujcia parę słów mówiła, gdy przechodziła przez jadalnię.

Ośmielona adopcją wujcia Wandzia zaczęła z uwagą spoglądać na pozostałe portrety. W jadalni wisiał również portret damy w czarnej sukni z dużym, białym, haftowanym kołnierzem. Wokół szyi dama miała owiniętą futrzaną etolę. Miała też, i to łączyło ją z wujciem Gniewkiem, osobliwą fryzurę. Otóż jej ciemne, mocno kręcone włosy podzielono na trzy części w taki sposób, że część środkowa sterczała na czubku głowy i tworzyła płasko

zakończony stosik, a pozostałe dwie rozczesano na boki tak, że zasłaniały uszy. Fryzura ta upodabniała damę do fantazyjnie ufryzowanego czarnego pudla z wiszącymi uszami. Pudlom dobrze w takim uczesaniu, kobietom nie. Nigdy na żadnym portrecie, w żadnym albumie ani w żadnym filmie historycznym Bobrowie nie widzieli tak dziwnej fryzury. Nie pasowała do żadnej epoki, nie pasowała do sukni i do miny owej damy. Nawet przez chwilę się zastanawiano, czy ktoś jej tych włosów nie domalował, ale badanie przeprowadzone z pomocą latarki i lupy pokazało, że nie. Opozycję do absurdalnej fryzury stanowiła mina owej damy, mina osoby rzeczowej, rozsądnej i trzeźwo patrzącej na życie. Damę nazwano Adelajdą.

Jej portret wisiał pomiędzy oknami, na wprost wujcia Gniewka. Adelajda wpatrywała się w niego bez sentymentu, surowo, trochę z pogardą i może naganą. Zresztą na wszystkich patrzyła z wyższością. Może ta harda mina miała zamaskować zawstydzenie z powodu głupiej fryzury? Wszak wiadomo, że najnieprzyjemniejsi, najsurowiej komentujący zachowanie, wygląd i dokonania innych są ludzie zakompleksieni. Tacy, co noszą w sobie jakiś brak, a raczej przekonanie o jego istnieniu. I tak biedna Adelajda, wiedząc, że jej uczesanie jest absurdalne i nietwarzowe, broni się przed szyderstwem innych hardą miną. Najeżone spojrzenie wujcia Gniewka nie ułatwiało sprawy. „Jak tyś się uczesała?!" — krzyczały jego szalone oczy. Adelajda zaś patrzyła na niego surowo, na jego kołnierz wieszcza, na rozwiane włosy i mówi w odwecie

z pogardą, którą manifestuje jej uniesiona brew: „Mój drogi, na kogo ty się kreujesz? Na kogo pozujesz?”.

Może dlatego wujcio Gniewko i Adelajda zostali zaakceptowani przez Wandzię i resztę rodziny, że wydawali się bardziej ludzcy niż reszta postaci na obrazach. Ludzkimi czyniły ich niedoskonałości — te okropne fryzury — oraz spojrzenia pełne emocji. Pozostałe portrety przedstawiały ludzi apatycznych, bez historii, bez życia, ale z czasem i ich oswojono. Wszak spotykano się z nimi codziennie. Zadziałał mechanizm przystosowania. A jak się już przyzwyczajono do ich strojów, sukni, surdutów, pereł, szabli, wąsów, gorsetów, to zauważono, że, o proszę, ci państwo w salonie jak nic muszą być rodzicami wujcia Gniewka, bo oczy tej pani mają błysk szaleństwa, a nos tego pana jest wąski jak u Gniewka i linia ust identyczna. Surowi i poważni państwo zostali więc Gniewczyńskimi. Okazało się, że w różnych zakątkach mieszkania Gniewczyńskich było więcej, co poznawano po oczach, nosach, ustach i uszach. Wszyscy byli dość poważni, raczej powściągliwi — poza Gniewkiem, który kipiał od emocji.

Natomiast w bibliotece, do której wchodziło się przez salon, królowała Chuda Dama, cała w czerni. Jej podłużna twarz wyrażała bezbrzeżny smutek kobiety samotnej i niekochanej. Od tego portretu wiało chłodem. Cała biblioteka wydawała się smutna i mroczna. Przewieszono więc z salonu jednego z rozlicznych Gniewczyńskich, żeby jakoś przełamać ponurą atmosferę tego pokoju. I pomogło. Rumiany, energiczny Gniewczyński

był lekiem na smutki Chudej Damy. Do pomieszczenia można było odtąd wchodzić bez obaw.

To samo oswajanie, które praktykowano w przypadku obrazów, dotyczyło zdjęć w ramkach i albumach. Przedstawionym tam postaciom wymyślano imiona, a za imionami szły opowieści, w które z czasem uwierzono. W końcu rodzinne fotografie pani Leokadii wymieszały się ze zdjęciami rodzinnymi Bobrów, jakby wszyscy byli wielką, wielopokoleniową familią, a nawet było widać, że podobni są jedni do drugich, że niemal tacy sami, że Wandzia ma takie samo spojrzenie jak stryjenka Zosia w białej sukience, co stoi z bukietem lilii, a Zdzisio ma profil jak dziadek Dionizy, zupełnie identyczny. I nikt nie pamiętał już, że przecież Dionizy jest dziadkiem adoptowanym, że Zosia wcale nie jest żoną żadnego stryja, a może nawet nie ma na imię Zosia.

Z własnych zdjęć, nim się wszystko całkowicie wymieszało, oprócz nieudanego ślubnego Bobrowie mieli kilka fotografii zabranych z domów rodzinnych. Do tego skromnego zbioru z czasem dodano ujęcia dziewczynek. Zdjęcia z domów rodzinnych to były głównie takie ustawiane u fotografa, na których wszyscy stali lub siedzieli sztywno, ufryzowani, ubrani odświętnie, gładcy, wyretuszowani tak, że wręcz stawali się podobni jeden do drugiego. Jedna fotografia była nietypowa i — jak pomyślała Wandzia, kiedy ją pierwszy raz zobaczyła — dość frywolna jak na lata, kiedy ją zrobiono. Zdjęcie to przedstawiało jej rodziców jako zupełnie młodych i roześmianych ludzi. Jej, Wandy, jeszcze nie było na świecie.